

# Dwie wiosny





WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

## Dwie wiosny

WŁOSKA

Długo — tygodnie całe nie wychodziłem z pokoju, więc tylko przez okna patrzyłem na świat: na szare, brzemienne wiosną niebo, to na morze gniewnie rozkołysane, to na czuby figowców o bładozłoty płomykach listków, gdy je wiatr przyginał do okien; to znowu przez zgaszone szkliwo deszczów złościły mi się gaje cytryn i pomarańcz i szarzały srebrem oliwki, a poza nimi, w głębi dalekiej, majaczyły porwane kontury gór. A nocami, tymi nieskończonymi nocami marcowymi krzyczało morze i kłami fal szarpało skały, aż dom trząsł się w posadach i całe stada wichrów przewalały się przez moją terasę<sup>1</sup> i z jękiem i wyciem spadały do morza. A rankami jęczały żałośnie żerujące mewy i wyły parowce w małej Zatoce Sorrentyńskiej<sup>2</sup>.

Wiosna nadchodziła.

Czekałem cierpliwie sił i rozmarzałem się cudami, jakie czekały na mnie tam — za ścianami hotelu, w polach i gajach Sorrenta.

...Czasami rzucono mi okwieconą gałąź brzoskwini;

...to bukiet liliowych dzikich lewkonii, których namiętny zapach przynosił mi wiatr od skał wybrzeżnych;

...albo wyblakłą, zimną purpurę dogasających kamelii;

...lub długie pędy migdałów o krwawych kwiatach jakby skąpanych w zorzach zacho-  
du;

...a czasami pęk złotych kul pomarańczowych.

I wtedy izba moja, smutna i zimna, rozświetlała się barwami i kwiaty śpiewały mi o wiosnie, o bliskiej, utęsknionej wiosnie.

A tak strasznie łaknąłem tej wiosny — tej włoskiej wiosny, tej wiosny śpiewanej przez poetów, o której marzyłem przez wszystkie lata życia mojego, że śniłem o niej jak o cudzie cudów, że była mi już samą tęsknotą — ta *primavera*<sup>3</sup> italska.

Aż pewnego dnia nie wytrzymałem, zerwałem się i poszedłem jej szukać.

Poranek był jasny, ale rozprażony i duszący — sirocco<sup>4</sup> wiał dnia tego.

Zatoka Neapolitańska była zmacona, podobna do olbrzymiej balii pełnej mydlin opalizujących.

Wezuwiusz nie dymił, a kopcił niemilosiernie i rozpościwał brudne łachmany dymów nad Pompeją.

A cały brzeg zatoki pełen miast i domów wyglądał jak stara, rozpadająca się cembrowina gipsowa.

Neapol różowił się przez szkliste bielma oparów, a Capri, Procida, Ischia<sup>5</sup> wychylały na horyzoncie z głębin morza i mgieł bezkształtne cielska, podobne do mitycznych lewiatanów<sup>6</sup>.

Noc, Melancholia

Rozczarowanie, Wiosna

<sup>1</sup>terasa — tu: taras. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Zatoka Sorrentyńska — niewielka zatoka Morza Śródziemnego w pobliżu miasta Sorrento, w pld.-wsch. części Zatoki Neapolitańskiej. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>primavera (wł.) — wiosna. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>sirocco (wł.) — suchy i gorący wiatr południowy lub południowo-wschodni wiejący na ziemię włoskie znad wybrzeży afrykańskich. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Capri, Procida, Ischia — wyspy przy wybrzeżach Zatoki Neapolitańskiej: Capri w części południowej, naprzeciw Półwyspu Sorrentyńskiego, Procida i Ischia na północnym krańcu zatoki. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>lewiatan (bibl.) — legendarny potężny potwór morski. [przypis edytorski]

Brzeg sorrentyński od Mety aż do Capo di Monte<sup>7</sup> szarzał urwistą, pogiętą i poszarpaną ścianą skalną, na której zielenił się pas ogrodów pomarańczowych i białe grupy domów.

Na wąskich terasach<sup>8</sup> przyczepionych do prostopadłej skały wybrzeża, w załamkach skał, w szczelinach — zieleniły się nędzne trawy, czasem dzikie lewkonie fioletowymi kwiatami plamiły szarawe tła, to znowu jakieś marne, poskręcane, połamane karłowate figowce lub oliwki ssały nędzny żywot z rumowisk lub mała plantacja pomarańcz, zasłonięta od wichrów matami, przypierała rozpaczliwie do skał...

Nie, tutaj wiosny nie było.

Poszedłem od morza w górę.

Drogi głębokie, otwarte z wierzchu kanały, obmurowane do wysokości pierwszego piętra murami podtrzymującymi ogrody — zionęły chłodem piwnicznym, pokryte były pleśnią, woda sączyła się po murach okrytych mchami i zielenią; wąski pas nieba nad głową przysłaniały fantastyczną siatką gałęzie drzew, ciężkie kule pomarańcz wisiły bezładnie, to rozkwitłe migdały jak obłok czerwony wznosiły się nad drogą, a miejscami czereśnia białymi kielichami zagładała lub stuoki bób patrzył znad muru.

Szedłem aż na wyżynę Conti delle Fontanelle<sup>9</sup>, bo dusiłem się tutaj.

Cisza była martwa, słońce błądą i ciepłą grzywą podnosiło coraz wyżej i miękczyło ostre kontury cieniów, drzewa stały bez ruchu jakby omdlałe, jakby w katalepsji<sup>10</sup> zwieszały się liście.

Droga szła coraz wyżej, była coraz szerszą i suchszą, wiła się już krętym pasem kurzawy aż do szczytu samego, skąd roztaczała się ogromna panorama na Sorrento i całą Zatokę Neapolitańską — ogromny amfiteatr, nieskończonymi terasami schodzący do morza, olbrzymi ogród pełen młodej zieleni winnic, co jak pajęczyna rozpinały się wzdłuż dróg, po zboczach gór, po drzewach, po terasach, po balustradach białych domów — wszędzie omotały swą przędzę szarozieloną, od szczytów gór zamykających z trzech stron amfiteatr i spływały do morza, i tam ta zieleń błada przechodziła w błękitnomodrawą stał, a potem paliła się już ku środkowi zatoki jak wypolerowane srebro.

A z drugiej strony, od Zatoki Salerneńskiej<sup>11</sup>, góry obrywają się prawie nagle i podruzgotane, porwane, postrzępione i zwalone w chaotyczne rumowiska spadają wprost w morze, które jak nieobjęty okiem basen z lapis-lazuli<sup>12</sup>, popręgowany złotymi pasmami — paliło się w słońcu...

Kilka mew białobrzuszych przecinało błękitny, kilka łodzi rybackich białymi żaglami plamiło szafirową toń — a poza tym pustka przeogromna, topiel wody i słońca, bezbrzeżność i milczenie.

Ale i tutaj nie było wiosny.

Była wągła zieleń, kwiaty bez zapachu, przestrzenie bez głosów, odradzanie się przyrody bez radości — a nigdzie krzyku triumfującego wiosny, nigdzie zgiełku potężniejszego życia, prężenia soków, pożądania się, nienawiści, miłości, zmartwychwstawania i tych nieprzeliczonych głosów naszej wiosny — naszej ziemi.

Te wąskie pasy ziemi, narzucone na skalne podłoże, nie buchały żarem, kwiatami, zielenią, życiem — a jakby wyczerpane walką ze słońcem i z kamieniem, leżały ciche i pływały się melancholijnie w tym ciepłym, kaloryferowym prawie powietrzu.

Kaloryferowa, cieplarniana wiosna.

A dookoła roztocze<sup>13</sup> nieskończone monotonnego błękitu i wody nieruchomej, zmartwiałej, a w pośrodku cały ten kraj garbaty górami, kraj rumowisk bezładnych, brzydkich

<sup>7</sup>od Mety aż do Capo di Monte — miejscowość Meta nad wsch. krańcem Zatoki Sorrentyńskiej, odległa o ok. 7 km od wzgórza Capo di Monte na zach. krańcu zatoki. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>terasa — płaski próg na zboczu doliny rzecznej lub nad brzegiem morza. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Conti delle Fontanelle — wzgórze na Półwyspie Sorrentyńskim, popularny punkt widokowy oddalony o kilka km od Sorrento. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>katalepsja — specyficzne zeszytnienie mięśni powodujące zastygnięcie ciała często w nienaturalnej pozycji. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>Zatoka Salerneńska — zatoka Morza Śródziemnego na pld.-zach. wybrzeżu Włoch, oddzielona Półwyspem Sorrentyńskim od Zatoki Neapolitańskiej. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>lapis-lazuli — półszlachetny kamień ozdobny o intensywnie niebieskiej barwie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>roztocze — tu: ogrom, coś co się szeroko rozpościera. [przypis edytorski]

i dzikich, poplamiony kępami nędznych zieleni, wśród<sup>14</sup> których słaniają się strasznie brzydkie domy i miasteczka.

I na drogach smutnych, kamienistych, leży wieczna, martwa cisza, czasem spośród tych gór trupich, spośród tych bezmyślnych zsympowisk zdechniętych głazów, z bladych aloesów i dzikich kaktusów wychylały się brodate głowy kóz — a częściej jeszcze gromady dzieci żebrzących o soidy<sup>15</sup>.

Niebo bez chmur, morze bez ruchu, ziemia bez krzyków — martwa cisza rumowiska, wśród którego pleni się z trudem, z boleścią, w męce, ciężkie, głodne życie.

I na próżno dzień cały szukałem tej wiosny wymarzonej, tej cudnej *primavery* italskiej — nie ma jej w Italii, ona jest tylko u poetów, ale tym piękniejsza i rzeczywistsza.

Kiedym powracał, mroki już przysłaniały cały amfiteatr sorrentyński — świeciły tylko najwyższe szczyty gór i wody w zatoce.

A cisza tego wiosennego wieczoru była jeszcze cięższa, bardziej smutna i martwa niżli we dnie.

W jakiejś zagrodzie, schowanej w cytrynowym gaju, osły zaczęły ryczeć przeraźliwie, odpowiadały im i inne z dala i z bliska, że uczynił się ohydny koncert wieczoru.

## POLSKA

Uciekałem z Włoch, gnany niepokonaną tęsknotą za krajem.

Jechałem dnie i noc, aż pewnego wczesnego dnia czerwcowego, przed wschodem słońca, o świcie, pociąg wyrzucił mnie na małej, pustej stacyjce w okolicach Piotrkowa — i odleciał z hukiem.

Byłem jakby wyrzucony z chaosu na samo dno ciszy.

Przejście było tak gwałtowne, że długą chwilę nie wiedziałem, co się ze mną stało, byłem jeszcze przeniknięty krzykiem pociągów, hałasem i ruchem tylnodniowej jazdy szalonej; oglądałem się bezradnie, a przez mózg przewalały się słoneczne krajobrazy, góry, morza, rozwrzeszczane miasta, tysiące twarzy, tysiące przedmiotów, tysiące głosów — majaczyło we mnie...

Szaro było i tak pusto, i tak cicho, że oprzytomniałem.

Poszedłem w ten przedświtowy mrok, w pola, na przelaj.

Mgły jakby runami wełny pokrywały łąki, zboża jeszcze czarne stały cicho pochylone, w rosach całe, senne; szarozielonawa kurzawa świtu przysłaniała śpiącą ziemię; pierwsze zorze rozsączyły się na wschodzie i mżyły opalowymi<sup>16</sup> pyłami.

Wszystko spało jeszcze.

Usiadłem na piaszczystej, wilgotnej wydmie pod lasem, nie mogłem iść, bałem się mącić tej świętej ciszy zórz pierwszych, nie śmiałem budzić majestatu snu wiosennego...

Ogromny las stał za mną w niezgłębionej ciszy, słychać było tylko monotonne kapanie rosy i coś jak oddech tych pni olbrzymich, zbitych w gęstwę, stłoczonych, jakby się wspierających w tym słodkim odpocznieniu<sup>17</sup>.

A przede mną nieobjęta równia<sup>18</sup> szarozielonawa; chaos nieuchwytnych jeszcze zarysów drzew, wsi, pól i lasów, przez który snuły się jak wizja senna ledwo odczute zarysy rzeki — niby pas mgieł szklistych.

Ale świt już nadchodził.

Niebo zaczęło się oddzielać na wschodzie od ziemi wąskim pasem opali<sup>19</sup>, przechodziło w róż i żarzyło się coraz bardziej, rozlewało, stawało się płynną purpurą, a potem olbrzymimi płomieniami rozlało się na horyzoncie.

I na ziemi uczyniło się jaśniej, z głębin szarych zaczynały wyrzynać się zarysy jakichś kościołów, wież, drzew, to aleja jakaś zarysowała się potężnym konturem, to wieś odrywała się czarnymi plamami z głębin, to strumień wybłysnął nagle z szarości lub szyba

<sup>14</sup>wśród — dziś raczej: wśród, pomiędzy. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>sold — drobna moneta włoska. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>opalowe — tu: mieniające się kolorami tęczy jak opal. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>odpocznienie (starop.) — spoczęcie, wypoczynek. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>równia — tu: równina. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>opal — kamień szlachetny o charakterystycznym, mieniającym się połysku. [przypis edytorski]

stawów zamigotała — cienie ustępowały jakby opony<sup>20</sup> ściągane z ziemi zorzanymi<sup>21</sup> palcami świtu, że coraz nowe wsie, domy, drzewa, drogi, pola wychylały się z próżni, stawały się, zaludniały ziemię — a horyzont wciąż się rozjaśniał, rósł, rozszerzał, rozpurpurzał i cofał, aż zginął w blaskach dnia, bo spod zórz wychyliła się rozpalona obręcz i po chwili krwawe, bezrzące oko słońca zawisło w przestrzeniach.

Budziła się ziemia.

Las drgnął, zaszemrał i pochylił korony ku słońcu, a z łąk i oparzelisk zaczęły bić mgły w górę jak dymy z trybularzy<sup>22</sup>. Stawy podnosiły powieki mgieł i sennym jeszcze, zorzanym spojrzeniem patrzyły w niebo; zboża zachrzęściły źdźbłami, poruszyły się sennie, że rosa jak grad różowymi perłami posypała się na ziemię. Strumienie zbulgotały szybciej, radośniej.

Nad mokradłami czajki już chybotwały białymi podbrzusiami, kołowały i kwiliły, bocian zaklekotał nad stodołą jakąś i ciężkim lotem płynął na żer, jaskółki świegotały pod strzechami, dzikie kaczkę krzyczały na oparzeliskach, a od wsi jakiejś jeszcze niewidzialnej płynęło po rosach rżenie koni.

Słońce szło w górę, dzień się zrobił zupełny, bo skowronki ze wszystkich pól zrywały się ku niebu i drżał w powietrzu ich hymn porankowy, a potem głos sygnaturki<sup>23</sup> leciał po rosach, dzwonił, budził, radował.

Szedłem zahipnotyzowany czarem tego wiosennego poranku. Zapomniałem już o Włochach, zapomniałem o sobie, zapomniałem o wszystkim — żyłem cudem tej ziemi, miałem wiosnę w sercu i wszystkie te barwy, drgnienia, śpiewy, zapachy, całe to przepotężne życie przyrody tętniło we mnie, było mną i ja byłem nim...

A ten wiosniany cud trwał i potężniał jeszcze.

Zaszumiały grusze na rozłogach<sup>24</sup> i deszcz kwiatnych listków sypał się na trawy i chwiał na źdźbłach jak motyle.

A słońce podniosło się wysoko — było już na dwa, już na pięć chłopów i rozświetliło, rozłocilo świat cały.

Zapachniały sady podobne do kwiatnych obłoków, zapachniały pola zielone, zapachniały łąki całe w kwiatów przepychu, zapachniała ziemia wczoraj zorana — i rozdzwonił, i rozśpiewał się naraz świat barwami, życiem, radością, uniesieniem.

Wiosna śpiewała swój hymn triumfu milionami głosów i szła przez ziemię barwna, radosna, dobroczynna i święta.

„O Święta!” — śpiewał chaos splątanych głosów polnych.

„Święta!” — dzwoniły strumienie kryniczne, śpiewały niezabudki<sup>25</sup>, niebieskimi oczami zapatrzone w toń migotliwą.

„Święta!” — śpiewały żyta już w kłosach i szły całymi polami jakby ku słońcu, i kłaniały się rytmicznie jakby w dziękczynnej modlitwie.

„Święta!” — śpiewały kwiaty łąk, wiśniowe gaje, skowronkowe głosy, szumy borów, zapachy ziemi, brzęki pszczół.

„Święta! Święta! Święta!” — dyszał cicho wietrzyk poranny i jak gospodarz tych pól nieobjętych przebiegał je wzdłuż i wszerz, i gasił rosy, podnosił źdźbła ocieźałe, rozdmuchiwał grzywy zbóż, otrząsał kwiaty, targał miękkimi, kochającymi ruchami maćkowe grusze po miedzach, gonił się z potokami, zwiewał z kwiatów motyle — to tarzał się po drogach, wysuszał kałuże, to biegł w pola do uznojoną pracą ludzi, osuszał im czoła i świstał im w uszy: „Święta! Święta!”

A potem przyszło południe upajające, potężne żarem — i obezwładniło życie na chwilę.

A potem słońce opadało z wolna ogromne, ciężarne jutrem, i kładło się tam, za bory, za ziemie dalekie.

<sup>20</sup>opona (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>zorzone — przym. od: zorza. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>trybularz — kadzielnica; metalowe naczynie z przykrywką, w którym znajdują się rozżarzone węgle z kadzidłem o mocnym zapachu, służące do okadzania podczas rytuałów religijnych. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>sygnaturka — najmniejszy dzwon kościelny. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>rozłóg — dolina nieckowata o łagodnych zboczach. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>niezabudka — niezapominajka. [przypis edytorski]

A ziemia rozszalała w potężde istnienia, wezbrana sokami, nabrzmiała krzykiem radości — przycichać zaczynała, sennić...

I szło wszystko ku odpocznieniu, ku ciszy wieczornych godzin, bo słońce zapadło zupełnie — świeciły tylko zorze ostatnie i oczy stawów błyskały gdzieniegdzie, a od wiosek ostatnie gwary drżały, beczenia owiec, gęganie gęsi zgubionych na pastwiskach, to śpiew pastuchów na łąkach leciał po rosach.

A potem mrok, cisza i senność.

Tylko bzy zaczęły mocniej pachnieć i słowiki po gąszczach śpiewały czarowny hymn nocy wiosennej — hymn miłości.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dwie-wiosny>

Tekst opracowany na podstawie:

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Wołk, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0793-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.